

**Wit Szostak**

**OBERKI  
DO KOŃCA  
ŚWIATA**



**powergraph**

Warszawa 2024

Copyright © 2007-2024 by Wit Szostak  
Copyright © 2024 by Powergraph  
Copyright © 2024 for the cover by Mikita Rasolka  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Joanna Mika  
Skład i łamanie: Powergraph  
Projekt okładki: Mikita Rasolka  
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wydanie drugie

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel. 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
[powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-67845-49-6**

Printed in Poland, EU





Przed



1.  
Mazurek rokiciński  
„drogowy”  
od Józefa Wichra

[wariant I]

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają. Józef Wicher nuci pod nosem tę starą melodię. Siedzi sam w izbie, żona właśnie wyszła do kościoła. Na piecu został czajnik, który prycha wrzątkiem. Pokrywka podskakuje w rytm oberka i w tym podskakiwaniu Józef rozpoznaje starodawnego mazurka. Ile razy go grał? Ile razy słyszał? Teraz siedzi przy stole i patrzy przez pelargonie na widoczny za oknem las. Za ten las chodzili, za tym lasem grali. Józef wstaje i szurając po linoleum, idzie do kuchni, by zestawić czajnik z blachy. Pod stopami skrzypi Bóg wie jak stara, Bóg wie jak zniszczona, wysłużona podłoga. Wracając, bierze skrzypce. Przez chwilę je ogląda,

przejeżdża palcami pod strunami, po zastygłej warstwie kalafonii. Gładzi poobijane brzegi, dostraja struny i zaczyna grać.

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają. Tak gra, tak grali. Przed laty, gdy chodzili muzykować. Józef Wicher chodzi ze skrzypcami po izbie. Grając, wspomina te wyprawy, te mazurki drogowe, niosące się po polach do sąsiednich wsi. Wreszcie odkłada skrzypce i podśpiewując pod nosem, sięga po zdjęcia, starannie poukładane w blaszanej puszcze po słodyczach. Przerzuca kolorowe zdjęcia dzieci i wnuków i dociera do starych, połamanych i wyblakłych fotografii sprzed lat. Znajduje jedną, zrobioną latem roku 1938. Jest na nim razem z bratem Franciszkiem i z Antonim Strycharzem. Pamięta tę chwilę jak dziś. Bo na tym zdjęciu muzykanci grają właśnie tego starodawnego mazurka.

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają. Stali na polnej drodze, na skraju Rokicin. Szli na pograjkę do Prawsi, która wprawdzie nie leżała za lasem, lecz na jego skraju. Szli i skracali sobie drogę, grając. A ich muzyka niosła się po polach. Teraz przystanęli, by dać się sfotografować. Stali więc i patrzyli w obiektyw. Józef nie pamiętał już, kim był fotograf. Czy to ten kulawy, z Odrzywołu, czy raczej ten chudy z wąsem, który miał zakład w Przysusze?



Za każdym razem zadawał sobie to pytanie i za każdym razem kapitulował.

Ej, powiedzcież mi, chłopcy, co się z wami stało?

Czy lat przeszło za dużo, czy może za mało? Zdjęcie jest formatu pocztówkowego, z wycinanymi w ładny wzorek krawędziami. Widać na nim trzech młodych chłopców. Ten stojący w środku jest nieco wyższy i starszy od pozostałych. Ma około dwudziestu lat i gra na skrzypcach. Oczy śmieją mu się do obiektywu, a na czole łobuzersko odwija się niesforna fala. To Franciszek Wicher, starszy brat Józefa. Franciszek gra na skrzypcach, które kupił przed kilkoma tygodniami od starego muzykanta w Kamiennej Woli. Jeszcze nie są dobrze rozegrane, jeszcze się ich uczy. Nie widać tego na zdjęciu, ale na ich tylnej ścianie Franciszek wyrył swoje inicjały i datę: 38. Dwaj pozostali młodzieńcy to Józef, ten z bębniem po prawej, i Antoni Strycharz, który pali papierosa, trzyma rękę w kieszeniach i patrzy gdzieś w bok. Józef jest w pożyczonej od ojca czapce maciejówce, trochę za dużej i przez to opadającej na ucho. Skupiony na bębnieniu, przejęty fotografowaniem, ma poważną minę. Śmieszna jak na swój wiek. Po lewej stronie zdjęcia widać uciętą przez fotografa bieloną kapliczkę. Tę, która poświęcona świętemu Antoniemu strzeże drogi do Rokicin, by nikt i nic nie uległo zagubieniu. Od kapliczki prowadzi wąska ścieżka, ale jej na zdjęciu nie widać. Widać natomiast stojącą przy jej końcu zagrodę, wycofaną aż po sam las. Las

jest sosnowy, choć na zdjęciu to tylko zamazana ciemna linia u góry. Właśnie na jej tle widać strzechę domu, który nie tak dawno należał do kowala Wojciecha. W prawym górnym rogu ta linia drzew nagle się urywa i widać tam rozmazaną, podłużną plamę. Niewielu wie, czym była w trzydziestym ósmym. Ale Józef dobrze pamięta, że to dom Tomasza Kobieli, diabelskiego muzykanta, którego wszyscy podejrzewali o zażyłe kontakty ze złym. Teraz tej zagrody już nie ma i poza Józefem niewielu pamięta, gdzie stała i kto w niej mieszkał. I to całe zdjęcie. Tylko tyle, ale dla Józefa to cały świat. Odchodzący świat ostatniego pokolenia wiejskich muzykantów. Ulepiony wokół ludzi, pełen łączących ich nici. I jednocześnie pokruszony na trudne do scalenia kawałki, które nie chcą pasować do żadnej całości. Świat pełen opowieści i cichych, dogasających w samotności dramatów. To zdjęcie przypomina mu stare historie. Historie tych trzech chłopaków, ich przyjaźni i wzajemnych losów. Historie miejsc, których już nie ma, albo które dawno zmieniły swój sens. Historie przedmiotów. Pylista droga, którą chłopcy mają pod stopami, prowadzi w stronę ich rodzinnej wsi, Rokicin. To na prawo. Z kolei idąc w lewo i mijając kapliczkę, można dojść do Kadzidła, gdzie stoi parafialny kościół i gdzie na cmentarzu leżą całe pokolenia rodu Wichrów. Polna ścieżka, która skryła się za plecami Józefa, ma zaprowadzić młodych muzykantów do Prawsi na pograjkę. A w następnym roku będą do tej wsi wracać często i Józef,

i Franciszek. To zresztą ostatnie zdjęcie, na którym Franciszek się uśmiecha. Na kolejnych jest poważny, skupiony i nie patrzy w obiektyw.

Ej, powiedzcież mi, chłopcy, co się z wami stało?

Czy lat przeszło za dużo, czy może za mało? Józef widzi to zdjęcie jako fragment mapy swojego świata. Z poślótkłego obrazka wybiegają ścieżki we wszystkich kierunkach. Nie tylko w stronę Rokicin, Kadzidla i Prawsi. Ale także ku przeszłości i przyszłości. Kiedy robiono to zdjęcie, wszyscy trzej jeszcze się przyjaźnili. Nie było między nimi tego, co ich potem oddali od siebie. Antoni jeszcze nie wie, że kiedyś śmiertelnie obrazi jednego z ciotecznych braci, co zakończy nie tylko ich wieloletnią znajomość, ale i wspólne granie. Franciszek z Józefem jeszcze nie znają przyczyny, która ich poróżni. Nie wiedzą też, że spotkają ją właśnie w Prawsi, choć nie na tej pograjce. Na te tańce zresztą nigdy nie dotrą. Z połowy drogi zawróci ich pożar, który, przyczajony, wybuchnie w Rokicinach. Biegiem wrócą do rodzinnej wsi, by ratować przed ogniem stodołę sąsiada. Dach wprawdzie spłonie doszczętnie, ale zgromadzone zboże zostanie uratowane. Będą siedzieć po wszystkim na trawie, osmaleni i zmęczeni, nawet nie żałując, że przepadła im zabawa. A z nią na pewno jakieś pieniądze za granie.

Ej, chodźcie, muzykanci, chodźcie, chłopcy, za las.

Ej, bo panny nie będą długo czekać na was.

Ej, chodźcie do nas, chłopcy, chodźcie ze skrzypcami.

Ej, chodźcie do nas, chłopcy, chodźcie z oberkami

Pozwolimy wam tańczyć z pięknymi pannami. Tak, przepadła tamta zabawa. Ale było wiele innych. Jednak nie o nich myślał Józef Wicher, wpatrując się w zdjęcie sprzed lat. Patrzył na dwa rozmazane domostwa. Wspominał swoje do nich wyprawy. Kilka lat wcześniej, przed zrobieniem tego zdjęcia, Józef z bratem i z Antonim wyprawili się do domu po kowalu Wojciechu. Mieli po kilkanaście lat i serca waliły im jak dzwony kadzidłańskiego kościoła. A było się czego bać. Szli przecież do domu, w którym powiesił się człowiek. Józef pamiętał, jak wypychali do przodu Franka, bo był najstarszy. Jak chyłkiem przemykali pod stodołą, bojąc się przejść przez środek podwórka. Jak zaglądali przez okna, jakby chcąc sprawdzić, czy duch Wojciecha nie przechadza się po izbie. A potem weszli przez niechcące łatwo ustąpić drzwi i zobaczyli pod powałą odcięty sznurek. Zobaczyli jego postrzępiony, konopny koniec, który pozostał po tym, jak ich ojcowie odcięli ciało Wojciecha. Józef pamiętał też, jak trwożliwie myszkowali po izbie, jak zaglądali do szafy i kufrów. Jak zeszli do piwniczki pod kuchnią i jak przedzierali się przez lepkie pajęczyny. Jak z Antkiem chcieli się wycofać na podwórko i tam, w świetle słońca lękliwie czekać na odważniejszego Franka. I jak starszy brat powstrzymał ich haniebną ucieczkę. I pamiętał, jak znaleźli w jednym ze słoików garść carskich monet, jak znaleźli resztki pisanych cyrylicą dokumentów.

Jakieś kwity pożyczkowe, jakieś świadectwa, jakieś akty. I były też tam polskie monety, dwadzieścia srebrnych dziesięciozłotówek, pewnie odkładanych przez Wojciecha na czarną godzinę. I jak zabrali ten skarb, a potem w pełnym słońcu dzielili go między siebie, dumni ze swej odwagi. Wtedy to Antek poprosił, by bracia Wichrowie pozwolili mu wziąć polskie pieniądze, jedyne, które były coś warte. Rozpłakał się nawet i tłumaczył, że wtedy będzie mógł odłożyć na harmonię. A Wichrom harmonia niepotrzebna, przecież są z rodu skrzypków. I zgodzili się bracia i zatrzymali bezwartościowe kopiejki i papiery po kowalu. Józef przypomniał sobie, że w chwili, gdy kilka lat później wędrowny fotograf uwiecznił ich na drodze do Rokicin, Antoni Strycharz krzyknął do niego, nie wyciągając papierosa z ust, przyjeżdż pan za rok, dwa, a sfotografujesz mnie z harmonią, nowiutką!

Nie będziemy zachodzić za las ze skrzypcami.

Nie będziemy zachodzić do was z oberkami.

Wy tańcować będziecie, my grać pod ścianami.

Wy bawić się będziecie, my stać pod ścianami. I nie dotarli tego dnia na zabawę do Prawsi. A skoro nie dotarli, to zabawy pewnie nie było, bo trudno się bawić bez muzyki. Ale Józef pamiętał, że prawie do Prawsi doszli. Że już zbliżali się do zagrody Tomasza Kobieli, diabelskiego skrzypka, którego się w okolicy bano. Bano się go na wesela prosić i bano urazić, nie prosząc. I Józef uśmiechał się nad fotografią, wspominając lanie, jakie

dostał od ojca, kiedy, zamiast uczyć się Wichrowych oberków, zachodził do Kobieli po diabelskie. Tomasz pokazał mu jeden czy dwa, Józef w lot złapał, miał przecież dziedziczne, muzykanckie ucho. A potem ćwiczył za stodołą, u siebie, w Rokicinach. Podczas obiadu ojciec nic nie mówił, a przecież zawsze był wesoły i dużo opowiadał. A potem tylko powiedział synowi, albo będziesz grał po Bożemu, nasze stare oberki, albo idź sobie do tego diabła. Ale żebyś potem nie wracał. I Józef wiedział, że z diabelstwem żartów nie ma. Do Kobieli już nie poszedł, nauczony świeżo oberek zarzucił i wrócił do Wichrowego grania. I tak już miało zostać. Józef patrzył na zdjęcie i uśmiechał się do własnych wspomnień. A te wesołe przeplatały się ze smutnymi. I wszystkie one pochodziły ze starej fotografii.

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają.